

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO” POŚWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

D. MOL

WIEM JA.....

Wiem ja coś ci, wiem ja, wiem,
Coś, co przyszło do mnie z łak,
W okwieconych smugów, miedz,
Urzeczony zawarło krąg;
Sianożęci słodkim tehem
Upoiło niby snem,
Lecz mi tego szkoda rzec,
Szkoda rzec....
Wiesz ty o tem? Wiesz ty, wiesz
Jak coś w duszy czasem gra,
Coś ci skrzydła pręży wszecz,
Coś ci pęka niby kra?
Coś zawory myśli guie,
Coś na serca wstaje dnie,
By znów w sennie ciszy ledz, —
Lecz mi tego szkoda rzec,
Szkoda rzec!...

Reichenhall w lipcu 1902.

STEFAN ZWEIG.

NOC NAD JEZIOREM GÓRSKIEM.

Z błądą falą puszczałam czółno moje,
Kędy płas gwiazdeczny drży na wodzie,
A szerokie, wonne, srebrne zdroje
Ze wzgórz cieką w miesięcznej pogodzie.

W strojnym, ciężkim, fałdzystym kostyumie
Mgła omdlewa na gałęziach kniei,
Sosny sterczą w nieugiętej dumie —
Sny kamienne, ciemne, bez nadziei...

Przez granitu poszczerbione stoki
Spływa noc tajemna w nieme cisze,
Wiotką dlonią siejąc mir głęboki —
Lśniącym nurtem czółno się kołysze...

Nurt jeziora tuli mokre lica
Z cicha do jasnego łodzi łona...
Spokój... Tylko nocna błyskawica
Zdala zrywa się, jak myśl zbudzona...

Tłóm. z niem. Anzelm Lutwak.

ZOFIA WÓJCICKA.

LIST.

3. Czyś Ty kiedy zauważył we mnie, Władku, tę dziwną, namiętą ciekawość, to tragiczne jakieś zainteresowanie, jakie we mnie zawsze budził dramat wczesnej śmierci?

Pamiętasz, jak mnie zawsze przykuwało do siebie każde młode życie, które gasło nagle?

Gdy byłam dzieckiem, płakałam nad zwiędłym zbyt prędko powojem — gdym dorosła, wzruszałam się nadmiernie śmiercią każdej nieznanym młodej istoty ludzkiej, a śmierć dziecka była zawsze dla mnie najtragiczniejszą z tragedii.

Mimo to, a może właśnie dlatego, namiętnie zawsze lubiłam powoje polne, białe. Wiedną tak prędko.

Ubóstwiam wszystkie białe kwiaty. Czy dlatego, że ich zapach bardziej subtelny, czy też, że życie ich krótsze?

Ty nawet nie wiesz, Władku, jak bardzo wzruszała mnie zawsze historia dzieciństwa Twego. Byłeś taki wątły, tyle razy na śmierć już skazany... Gdys mi mówił o chorobie Twojej, o łzach i rozpaczy matki Twojej, o powolnem konaniu, które trwało tygodnie całe, codzień się powtarzając, umierałam zawsze razem z Tobą. Tyle razy, ile razy mi to opowiadałeś?

Może i dlatego pokochałam Cię? Przynajmniej — może to było pierwszym ku temu powodem?

Wyszłam trochę na miasto dziś rano.

Była duża mgła. Otulała miasto gęstym, szarawo-białym welonem tak, że zrobiło się dużo i tajemnicze i sennie. Mgła miejska taka przykra. Jakże inne są te opary białe, które zawieszają nad rzeką, nad mokrą łąką, nad stawem gazy swe lekkie i ruchome. Tam, mimo niej, czuje się świeżość ranka — jest to jak wilgotny, czysty oddech ziemi. Mgła miejska, pożarliwszy wszystkie miejskie miazmaty, gęsta i natrętna pcha się do ust, zastania oczy, drażni nozdrza przykrym, skondensowanym zapachem.

Chodziłam po ulicach z uczuciem niesmaku i podrażnienia. Patrzałam otwartymi oczyma w słońce, które z poza tej zasłony, wyglądało, jak brudny, blade, śmieszny krążek. Taki mały i taki śmieszny w swej bezsilności — trup słońca.

Pomyślałam, że coraz więcej do takiego krążka robi się podobną dusza moja. I było mi dziwnie smutno i dziwnie źle.

Ale gdy pomału mgły zrzedły i opadły, a słońce zaczęło wyciągać do ziemi coraz gorętsze, coraz bardziej zwycięskie ramiona, jak po swoją własność — gdy coraz jaskrawsze jego promienie coraz skuteczniej zwalczać poczęły mgłę chłodną, nie mogłam znieść spojrzenia tego dużego, złotego oka. Wydało mi się jeszcze bardziej nienawistne, brutalne jakieś w swej jasności, samolubne, idyotycznie wytrzeszczone... Uciekłam.

Uciekłam w otwarte drzwi kościoła.

Tam było cicho i pusto i mrocznie.

Wiesz, jak lubiłam zawsze spokój samotnych świątyń. Jest w nich coś ze spokoju śmierci, z jej grozy i jej tajemniczego uroku.

Jak miło i chłodno. Prawie tak, jak w lesie. Kościół ten jest prawie taką świątynią, jak las — pomyślałam. I zasnęła na chwilę w pokoju zmęczona dusza moja.

Piękne, wysmukłe formy pociągały oczy moje i dawały im rozkosz czystą. Cisza zda się, zupełna, a tak żywa pieściła uszy moje słodką swą muzyką. Czy jest ktoś, co by nie słyszał, czy jest ktoś, co by nie kochał muzyki ciszy? Ja kocham ją tak bardzo!

Dawniej kochałam ją dlatego, że wśród niej najgłośniejszą górującą nad nią jasny ton duszy mojej. Dziś kocham ją, bo mi ten ten zagłusza. A może dlatego, że tak bardzo tęsknię do niej — do ciszy wiecznej.

Gdyby mnie kto jednak zapytał, kiedy się to stało? Kiedy rozslonecznione, rozblękitnione niebo przestało mi mówić o życiu, a zaczęło mi szeptać słowo śmierci. Kiedy barwne, bogate ołtarze przestały mówić do mnie innym językiem, jak tylko językiem barw swoich i bogactwa — nie wiem — nie umiałabym powiedzieć.

Nie wiem, kiedy dusza moja starzeć się zaczęła — nie wiem nawet, kiedy jej wyrwała pierwszy włos siwy. Byłam, jak kobieta próżna, która ujrzała pierwszą zmarszczkę na swej twarzy. Kiedy dostrzegła pierwszą zmarszczkę na twarzy mej duszy?

Nie wiem, nie wiem...

Może stało się to już wtedy, gdy po raz pierwszy brutalna pieśń życia uderzyła mnie nagle między oczy? — Już wtedy, gdy ja otworzyła na nowo, ujrzałam świat innym, niż poprzednio.

Więc to jest życie! Więc tak wygląda rzeczywistość? — myślałam. Jakże od niej bolały mnie oczy! te oczy, mocno rozszerzone zdumieniem, te oczy przerażone i smutne, te czyste oczy duszy mojej, które aż do tej chwili widziały tylko tężowe obrazy, przez nią samą stworzone i niejasne wizje, z dna jej w falach przeczuć wychodzące! Odarta z wszelkich zasłon bezwstydnie naga rzeczywistość — a raczej to, co mi pod jej imieniem ukazano, omal ich nie oślepiła brutalną jaskrawością swoją. Mysł moja była wtedy jednym pasmem bezgranicznego zdumienia i równie bezgranicznego wstrętu.

Pamiętam to tak dobrze! Byłam tak młoda i tak czysta! Dziwiłam się sobie, że jeszcze żyć mogę po tem, dziwiłam się innym, że żyją z tem. Tak nawet swobodnie i tak wesoło.

I teraz się dziwię, że wtenczas nie umarła. Cierpiałam tak bardzo!

Choć — kto wie? Może umarłam już wtedy?

Nie, nie! Jam Ci się dała cała, żywa i świeża! Wtedy, gdy Cię kochałam, odżyłam. Odżyłam w Tobie i dla Ciebie. Odnowiła mnie, stworzyła na nowo miłość Twoją, miłość naszą. Jam Cię tak kochała, Władku!

Wybacz mi ten czas przeszły. Kocham Cię stokroć więcej, niż Ci to kiedykolwiek wypowiedzieć mogłam lub dowieść umiałam. Kocham bez granic

duszę Twą prostą, czystą i wielką, jak wspaniała bazylika, wystawiona chrześcijańskiemu Bogu — dobrą i tkliwą, jak ciepła pieśń słońca — bujną i bogatą, jak las podwzrostnikowy — gorącą, jak łono ziemi. Oddałam Ci też wszystko, co było we mnie Dobrem, Pięknem i Młodością — oddałam Ci siebie całą.

I ani na chwilę Twoją być nie przestałam. Nie dałam Ci ani jednego kłamanego pocałunku — nie było we mnie nic, co by nie było Tobą.

Dopóki...

— A może stało się to wtedy, gdy dosyt rozplótł po raz pierwszy ramiona nasze a usta zamknęły się znużeniem, nie pragnąc więcej?

— O! nie myśl tylko, Kochany, że robię Ci wyrzut najmniejszy, cień wyrzutu bodaj.

Ale nieraz ogarnia mnie taki namiętny żal za pierwszą czystością młodych porywów naszych, że krzyczałabym głośno z bólu i rozpacz.

Jakże świętymi były pocałunki spojrzeń naszych, nieśmiałe i drżące a tak rozkoszne! Jakże świętą była cześć nasza wzajemna dla tych drzeń tajemnych a słodkich, co tworzyły między nami sieć niewidzialną a mocną, nierazowaną jeszcze silną dłońią pożądania.

— Jakże świętym był czas narzeczeństwa naszego. Pelen dziwnych tajemnic. Pelen rajów...

Jakże świętym był ten pierwszy pocałunek, który połączył nasze pobożne usta i uczynił nas Jednem!...

O! czemuż mnie nie zabiłeś pierwszym pocałunkiem Twoim! pierwszym pocałunkiem, jaki wtedy przyjęły i dały moje usta! pierwszym pocałunkiem dusz naszych!

Jak cicho! Prócz równego oddechu snu Twego, który mnie dochodzi z drugiego pokoju, słyszę i tę przedziwną melodyę ciszy, która gra dla mnie pieśń nieutulonego smutku i nieutulonej tęsknoty. — Dla innych gra może pieśń tworzenia lub pieśń nadziei?

Czy ja wiem?

...A jednak inna jest cisza nocy, spędzonej bezsennej przy biurku, inna jest cisza świątyni a jeszcze inna cisza cmentarza wiejskiego. Każda ma melodyę swoją, ale w każdej góruje ton inny. Inaczej śpiewa cisza leśniej samotni a inaczej cisza milczącego, oczekującego na żywe słowo mowcy tłumu.

Dzisiaj do akordu ciszy łączy się jeszcze minowy, żaloszny śpiew wiatru, płaczącego w kominie. I on płacze. Za czym płacze? Do czego tęskni?

Jakże bardzo jego drżące, żaloszne zawołanie odpowiada pieśni, którą sobie teraz bez końca śpiewa dusza moja.

Choć zawsze... Ona była zawsze, jak harfa o nieprzeliczonych, cieniuchnych strunach, na których łąda wrażenie, łąda wpływ zewnętrzny wygrywał pieśni przedziwne. Bywało, lekki powiew — Bóg wie, z wewnątrz mnie, czy ze mnie samej pochodzący, trąci ją — a już śpiewa, już drży, już płacze.

Zbyt delikatne były struny duszy mojej, Władku, musiały pęknąć.

...Jaki cudny, jaki bezgranicznie smutny śpiew. Gdybym była poetką, wyśpiewałabym w noc taką pieśń tęsknoty i melancholii. Tęsknoty duszy za niekończonością.

„Ale nią nie jestem i pieśń moja pozostanie niewyspiewaną. Umrze wraz ze mną.“

(C. d. n.)

ADAM SIEDLECKI.

Nowa książka o piśmiennictwie polskiem.*)

I.

Pierwszą cechą wybitną pracy W. Feldmana jest to, że z historii literatury chce zrobić naukę, chce, by wszystkie poszczególne wnioski w krytyczną jakąś wiązały się całość — by możliwe mało dać głosu przypadkowi, więcej konieczności.

Usiłowania te p. Feldmana nie są w literaturze naszej odosobnione. Przedewszystkiem „Prelekcje o literaturze słowiańskiej“ raz na zawsze powinny być naszych historyków literatury zapłodnić pragnieniem stwarzania z dziejów organizmu żywego, który w czemś żywym ma swój początek, w żywym zdolność do życia.

To samo, co Mickiewicz stwarza w buncie poetyckich jasnowidzeń, to samo odczuwa następnie pod wpływem epoki Michał Wiszniewski, z krzywdą dla nas samych zapomniany prawie historyk. Po Mickiewiczu on pierwszy u nas zapragnął, by literatura polska była historią, by każdy fakt w piśmiennictwie miał swe przyczyny wykryte i swe skutki w dziejach dalszych odszukane. Bardziej od Mickiewicza przykładu naprowadzał na tę drogę Wiszniewskiego ognisty wtedy pozytywizm Compté'a. Wiszniewski pierwszy u nas zrozumiał, że literatura, z oddalenia historycznego zwłaszcza, wiąże się z kulturą swej epoki i że w książce, poświęconej literaturze, pomijać dziejów kultury nie sposób. Tę załugę Wiszniewskiego należy podnosić z naciskiem, tem bardziej, że na tym punkcie, bardziej aniżeli na innych, prześciga stanowczo swych poprzedników: F. Bentkowskiego i Brodzińskiego. Jeżeli zaś Wiszniewski nie zdołał w 10 tomach swej literatury przeprowadzić swej idei, to tylko dla tego, że był w położeniu człowieka, równocześnie stwarzającego źródła i historię.

Nowsi historycy — tak się jakoś złożyło — bliżsi są znowu metody Bentkowskiego, aniżeli Wiszniewskiego. Obszerna literatura Chmielowskiego w założeniu autorskiem i rozmyślnie jest rodzajem bibliografii rozumowanej; prof. Tarnowski choć daje krok naprzód po drodze od kroniki do nauki, nie stawia go jednak kategorycznie, bez zastrzeżeń.

Daleki jestem od próby dyskredytowania sumiennych prac obu tych historyków; mają one swą wagę i każdy je czytać powinien, ale trudno nie zaznaczyć, że intencje ich za mało ambitne, w stosunku do nauki nie nowożytne. Chmielowskiego więzi sztucznie nałożona na badanie t. zw. obiektywność sądu, zaś prof. Tarnowskiego... To się nie daje powiedzieć w dwóch słowach.

Prof. Tarnowski — historyk ma w sobie coś ze średniowiecznego mnicha-kronikarza, któremu w nagrodę za trudy i wiedzę dano cichą komnatę na dworze królewskim. Od tej pory wdzięczny benedyktyn zatracił zupełnie miarę zachwyty nad do-

brocią monarchy. Przy każdej okoliczności, w najdalszych nawet zestawieniach, przy opisie n. p. zamienienia słonecznego najdzie sposobność, by wskazać splendor i cnotę Jego królewskiej Mości.

Wiedzą, smakiem krytycznym i epoką oddalony od niego prof. Tarnowski w kulecie dla monarchizmu nie daje mu się jednak prześcignąć, choć tamten jednego, a ten tylu ma królów polskich do zachwyty! Panowanie prof. Tarnowski identyfikuje z duchem narodu i odtąd siłę literatury nie z narodu lecz z króla wywodzi. Jako krytyk, obdarzony istotnym zmysłem historycznym, wie, że literatura z czemś się wiąże w swym pędzie i z czegoś wypływa, — to „coś“ jednak upatruje nie w tętnie narodowym, nie w natężeniu zbiorowej emocji, lecz mechanicznie wysnuwa z rozwoju politycznej siły, wskutek czego łączy w przyczynowy związek n. p. najświetniejsze czasy Kochanowskiego z glorią Batoro, raczej postanawia, by najświetniejszymi pod ten czas były; upadek złotych czasów literatury wiąże z dezorganizacją polityczną, ściślej biorąc z upadkiem władzy monarchicznej XVII w., najnieśluszniej Skargę wiąże z trzymającym się jeszcze splendorem pierwszego z Wazów, zapomina, że geniusz Skargi bądź co bądź z przecucia idącej kłęski, nie z tryumfów teraźniejszości Zygmunta III. genezę swą bierze, nie dostrzega wreszcie, że metoda jego winna Mickiewicza szukać gdzieś obok Grunwaldu, albo Unii, w każdym razie nie na pogrobowych stronicach 1831—1855 roku.

I tak cenne skądinąd i dla każdego niezbędne, jak to zauważono wyżej, prace Chmielowskiego i Tarnowskiego w stosunku do nauki są po Wiszniewskim etapem raczej, niż pochodem metody.

Tę właśnie okoliczność najwidoczniej zrozumiał p. Feldman, pisząc swoje „piśmiennictwo ostatnich lat dwudziestu“. To co Mickiewicz stwarzał jasnowidzeniem, do czego Wiszniewski nie doszedł sumiennością i wiedzą, to pan Feldman w planie ogólnym doprowadził sprytem literackim.

Spryt w najlepszym tego słowa znaczeniu powinno się cenić podwójnie u nas, gdzie literatura go wcale prawie nie zna; jest to bądź co bądź czynnik nowy, nowymi warunkami zrodzony, a w dobre ręce oddany, dodatnie tylko wyniki zapisać mogący.

Kto historycznie zna dzieje literatury naszej z ostatnich lat dwudziestu, ten doskonale wie, że stworzyć z nich prawidłowy systemat jest to rzecz trudna i prawie niepodobieństwo. Nie mamy bowiem ani jednej bibliografii tych czasów, nie mamy ani jednego skorowidza bibliograficznego, nie wydajemy oddzielnie w tomach ani swych krytyk, ani monografij, nie wydajemy biografij znaczących pisarzy, wszystko wpada w prasę peryodyczną, na przepade, co gorsza nie mamy przymusu bibliotecznego, któryby zobowiązywał każdą wydaną książkę dać bez apelacji choć jednej z bibliotek publicznych. Nie ma więc źródeł do historii literatury, człowiek przystępujący do pisania historii literatury musi być kronikarzem, bibliografem i badaczem-krytykiem równocześnie, Tysiące utworów musi odszukiwać w pismach, tygodnikach, nie mając żadnej gotowej wskazówki, gdzie szukać należy, jeżeli na pewno nie wie. Tę okoliczność uważam jako swój pierwszy obowiązek wskazać, mówiąc o pracy p. Feldmana, tem bardziej, że jest ona najniewdzięczniejszą, bo

*) Wilhelm Feldman: piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu, w dwóch tomach. Lwów. Księgarnia H. Altenberga, 1902.

przepadła dla czytającego jego książkę częścią sro-
giego doprawdy trudu.

O ile jednak sądzić można z cytatów, zawar-
tych w dwóch tomach piśmiennictwa p. Feldmana,
w pracy pomógł mu ów właśnie zbawczy instynkt,
który nazwałem od francuskiego „esprit“ sprytem:
autor postanowił posługiwać się tym materiałem,
który każdy krytyk-literat po kilkunastu latach pracy
w pewnej mierze z tygodnia na tydzień nabywa
i z którym się żyje, jako z częścią życia. Pomysł
ten zapisuje na dobro pracy p. Feldmana. Dla kry-
tyka najważniejszym utworem danego autora będzie
bowiem nie ten, który podług wszelkich obliczeń na-
leżałoby brać za wybitny, lecz ten, który najprzeni-
kliwiej przedostał się do duszy czytającego; tym bo-
wiem sposobem dopiero krytyka czyjegoś dzieła staje
się dokumentem mózgu krytykującego, czyli tem,
czem była krytyka od wiek wieków. Cały problem
tylko w tem, czy dokument mózgu tego, a tego czło-
wieka wart, by go podawano do wiadomości. W ten
sposób historyk ma prawo z ogólnego materiału dowo-
dowego wybrać część sobie czy bliższą, czy bardziej
znaną, czy tem bardziej znaną, że bardziej ukochaną,
że bliższą — i nazwać to „swoim“ materiałem.
Obowiązkiem krytyków jego dzieła wyświetlić, o ile
„jego“ materiał odbiega od prawdziwego materiału,
o ile mu w konsekwencyach nie przeczy. Pod tym
względem krytyk p. Feldmana nie może mu robić
zarzutu, ów „jego“ materiał jest dość dla każdej
opoki charakterystyczny — jeżeli są jakie zarzuty,
to inne — i o nich choć słów kilka.

ANTONI PLUTYŃSKI.

ZWROT W DZIEJOPISARSTWIE POLSKIM.

II. Niepomierne zaniedbanie nasze na polu
nauki i wykształcenia w dziedzinie dziejów najnow-
szych stwierdzonem zostało nieodbitcie ze strony kom-
petentnej w obradach ostatniego zjazdu historyków
polskich w Krakowie (4, 5 i 6-ty czerwca 1900).
Skoro jednak barwne uroczystości jubileuszowe od-
ciągnęły uwagę prasy i społeczeństwa od mniej
efektownych, ale istotne znaczenie dla wzmocnienia
nauki polskiej mających usiłowań, podnieść powtórnie
należy i rozpatrzyć rzucone przed dwoma laty hasła,
i to tem wyżej, ile że zadania naukowe, nie tylko wy-
silków uczonych, ale i żywego z dokładnego zrozu-
mienia ważności sprawy wynikającego poparcia całego
społeczeństwa wymagają.

„Jest czas najwyższy“ — wołał do polskich
historyków prof. Askenazy (Pamiętnik III zjazdu hi-
storyków polskich w Krakowie) — wziąć się nareszcie
na całą linię z całym wyteżeniem, całym impetem
do pełnej i szczerzej roboty naukowej koło dziejów
porozbiorowych. Są one u nas i tylko u nas ciągle
uważane niemal za „spółczesność jeszcze, jakoby nie-
dojrzałą dla umiejętności badań“. „To jest złudzenie“.
„Tutaj jest pusty wyłom, który opatrzyć potrzeba.“
Tutaj jest szeroka szczerba pomiędzy nauką a ży-
ciem, pomiędzy dziś a wczoraj, którą potrzeba wy-
pełnić. „Na szale historycznego sądu o tych dzie-
jach Niemcy, Rosjanie, Francuzi rzucają bez przerwy
całe laszty imponujących wydawnictw i opracowań
źródłowych największej wagi. My sami tylko nie
kładziemy nic, albo prawie nic. Jesteśmy tutaj nie-
tylko zdystansowani, ale poprostu nieobecni“. „Na to
niema tłumaczenia“.

Przeszedłszy dalej historyczną literaturę, odno-
szącą się do lat 1795—1830, stwierdza autor „Przy-
mierza“, że zarówno stan trzech dzielnic bezpośred-
nio po rozbiórce, jak dzieje legionów, jak wreszcie
Księstwo warszawskie i Królestwo kongresowe, nie
doczekały się ani obszernych monograficznych, ani
wyczerpujących, całokształty poszczególnych epok
obejmujących, opracowań, a przecież znajomość tych
właśnie czasów posiada dla narodu polskiego olbrzy-
mie nie tylko historyczne, ale wprost życiowe zna-
czenie.

Mogą się historycy spierać, czy historia jest
nauczycielką życia. Mogą tej zasady zgola nie uzna-
wać. Nie ich rzeczą bowiem jest, ale polityków i pu-
blicystów osądzać, ile nauki znajdzie się dla obecnego
pokolenia w doświadczeniach lat minionych i nie
oni z prawd przez się zdobytych bezpośrednio ko-
rzystać mają. Uznać można dowcipne wyrażenie je-
dnego z historyków warszawskich, że przecież pra-
cujący w chemii nie dba w swych doświadczeniach
czy odkrycia jego lekarzowi, czy też kucharzowi pra-
ktycznie posłużą, ale domagać się ma prawo społe-
czeństwo ani w pracujących naukowo, ani w zasoby
materiałnie nie nazbyt bogate, aby tak chemicy jak
i historycy, ku tym dziedzinom przedewszystkiem
badania swoje skierowali, które przed innymi dla cel-
ów ogólnych — publicznych, zbadane być winny.

Społeczeństwo ma prawo domagać się, aby tru-
dem i krwią najlepszych jego synów okupowane do-
świadczenia nie utonęły w zapomnieniu, aby z wspo-
mnieniem tych rozlicznych wysiłków nie tylko odru-
chowe uczucia bólu, strachu i zawodu, ale i sąd spo-
kojny łączyć się mógł w umysłach współczesnych nam i
potomnych. Bo epoka porozbiorowa „to — słowa
Askenazego — jedna olbrzymia retorta. Wewnątrz niej
prawie są wyczerpane wszelkiego rodzaju ekspery-
menty. Eksperyment odbudowania państwa przez ka-
żde z osobna z trzech mocarstw rozbiorowych, idąc
kolejno od Aleksandra Wilhelma II przez Franciszka
II aż do Fryderyka I. Eksperyment odbudowania
przy udziale niezawisłego mocarstwa, idąc kolejno
od dyrektoryatu, przez Napoleona aż do Ludwika
Filipa“. „Eksperyment spiskowy od Gorzkowskiego
aż do Podchorążych. Eksperyment emigracyjny od
Hotelu Diesbach aż do Hotelu Lambert. Eksperyment
ugodowy każdego odcienia od najwyższych koncepcyj
Czackich, Stasziców, Lubeckich, schodząc po mnogich
szczeblach pośrednich aż na dół do praktyki Iliń-
skich, Różnieckich albo Szaniawskich“.

W epoce tej źródło swe i początek ma nasz
stan obecny. „Kryją się w niej zaczątki polityki ad-
ministracyjnej, szkolnej i unickiej rządu rosyjskiego,
wszechstronnie odtąd w guberniach zachodnich roz-
winętej, oraz zaczątki kulturalnej samoobrony spo-
łeczeństwa“; w zaborze pruskim znów pierwsze usi-
łowania eksterminacyjne względem żywiołu polskiego
prowadzone z większą może jak obecnie zręczno-
ścią, a przecież tylko w małej części pomyślnym
uwieńczone skutkiem. I u nas niemiłej początków
ekonomicznego upadku kraju i żarzącego się obecnie
sporu narodowościowego nie gdzieindziej, ale wła-
śnie w zgubnej polityce rządu centralnego — w tej
epoce poszukiwać należy.

Również w życiu naszym wewnętrznym znaj-
dziemy cały szereg objawów, nie dających się inaczej
zrozumieć i wytłumaczyć, jak tylko przez dokładne
poznanie najbliższej przeszłości. Obecne pokolenie

jest dzieckiem z krwi i kości poprzednich. Przejęło ono po nich w spadku pewne pojęcia zasadnicze i uczucia instynktowe, których wytłumaczyć nie zdołamy, z którymi jednak każdy dobrze myślący człowiek liczyć się musi. Jak dobry lekarz znać winien nie tylko stan obecny chorego, ale także jego życie poprzednie i zaczątki choroby, tak i sumienny polityk czy publicysta wszelkie sprawy narodowe w ich genetycznym rozwoju ujmować musi, aby trafną postawić dyagnozę i skutecznie zapisać lekarstwo.

I doprawdy, iluż ciężkich przewinień przeciw dobru publicznemu, przeciw godności i interesowi narodu oszczędzić, od ilu kroków wstecznych uchronićby mogło dokładne a możliwie bezstronne zbadanie czasów ostatnich — wydobyć z nich jak największej masy nie dających się zaprzeczyć faktów. Nic się w życiu nie powtarza, nigdy raz powstała nie powraca kombinacja, to samo połączenie nie istnieje dwa razy ni w czasie ni w przestrzeni — nie istnieje w bycie, ale w skład zawsze nowych kombinacji wchodzi cała masa pierwiastków względnie stałych, których istotę i właściwości odkryć może historia, ale wiedząc jak kierowały się wypadkowe działające w przeszłości siły, można snadniej z pewnem prawdopodobieństwem obliczać rezultaty działań na dziś i na jutro.

Zauważyć jeszcze należy, że historia posiada ogromne znaczenie pedagogiczne zarówno w wychowaniu młodzieży jak i oświadcianiu mas ludowych, że na niej urabiają się nie tylko poglądy ale uczucia, potęgają lub osłabiają się dobre czy złe instynkty. Zaniedbanie studiów fachowych w historii najnowszej nie tylko utrudnia przedstawianie tym szerokim warstwom przeszłości w jedynie wskazanem, prawdziwym świetle, ale umożliwiło rozszerzanie najgrubszych błędów, oświećlanie takich postaci jak ks. Józef lub Reylan (żeby tylko najnowsze wspomnieć wypadki) w sposób wprost wstrętny, bo nie ze stanowiska należnej im za dokonane czyny wdzięczności narodu, ale płaskiej złośliwości plotkarza, podpatrującego małe słabostki a do oceny wielkich zalet niezdolnego. Ci wszyscy nasi wielcy i ukochani, co krwi swej i trudu nie szczędzili dla sprawy narodu, dzięki zaniedbaniu naszemu, spotwarzani być mogą bezkarnie nawet skutecznie wśród obcych i wśród swoich, przedstawiani jako miernoty, niedolegi, szaleńcy. Przywyklszy do takiego obchodzenia się z wielkościami przeszłości zatracca społeczeństwo nasze zdolność wierzenia i miłowania, jedyne siły które zastąpić mu mogą brak urzędowego przymusu i obowiązkowego posłuszeństwa, nie mówiąc już o tem, że zatracca zdolność sprawiedliwego sądzenia ludzi i zasad.

Znaczenie „historii współczesnej w programie wykształcenia politycznego“ ze stanowiska społecznego i wychowawczego oświecił dr. Bronisław Łoziński również na krakowskim Zjeździe historyków twierdząc, „że sprawa podniesienia wykształcenia politycznego stała się wprost piękną kwestią od chwili, gdy w nowym ustroju urzędów państwowych szerokie koła ludności powołane zostały na widownię życia publicznego z rozległymi atrybucjami do udziału w funkcjach publicznych, i prąd w tym kierunku, znajdujący dziś najwybitniejszy wyraz w wybijającej się na wierzch zasadzie powszechnego głosowania, nie tylko nie słabnie, lecz owszem zdaje się ciągle przybierać na siłach i szansach“. Powołując się zaś

na pogląd rektora wiedeńskiego dra Exnera, który widzi w historii niejako surogat tego niezmiernie ważnego czynnika patriotyzmu, jakim była w starożytnych republikach identyczność gminy i państwa i jedyny sposób bezpośredniego połączenia wyobrażeń o własnym bycie z czynami sterowników państwa, z dziejami przeszłych i przyszłych pokoleń w jednej idealnej całości, z naciskiem podnosi radca Łoziński, że przedewszystkiem „społeczeństwo polskie pozbawione nie tylko własnej organizacji lecz nawet z wyjątkiem Galicji, organizacji samorządnej uważać musi historię za najgłówniejszy i najważniejszy czynnik krzewienia patriotyzmu, za wieczyste ożywcze źródło tego poczucia narodowego, które wśród rozbicia narodu na trzy odłamy pomiędzy obce dlań organizmy państwowe stanowi węzeł, idealną siłę swoją zastępujący, ów realny czynnik łączności, jakim dla innych, szczęśliwych narodów jest samodzielna organizacja państwowa“.

Naturalnym, a jedynym wnioskiem z tego tak pięknego poglądu byłoby wstawienie w program galicyjskich szkół średnich historii Polski porzobiorowej, a przedewszystkiem uczynienie historii polskiej wogóle przedmiotem obowiązkowym. Wniosku takiego nie wyciągnięto jednak i, jak w wielu innych wypadkach, nawet tak poważna z kół urzędowych wychodząca inicjatywa w najżywcotniejszej sprawie przeszła zupełnie bez skutku, bez echa.

Obok względów przytoczonych podnieść by należało jeszcze kilka nie mniejszej wagi, dla których zapowiadający się i dokonywujący już po części zwrot w dziejopisarstwie polskim powitać należy zachętą i poparciem.

LUDWIK BERNACKI

SZEKSPIRA „WIELE HAŁASU O NIC“ W POLSCE.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie przyniósł w miesiącu listopadzie 1900 r. między sztukami Rydla, Fredry (Jana Aleksandra), Gawalewicza, Grabowskiego, Gryfity, Langmana, też i arcydzieło genialnego dramaturga Anglii, Szekspira, a mianowicie jego komedję pt. „Wiele hałasu o nic“ (*Much ado about the nothing*).

Daleko jesteśmy od zamiaru mówić o przedstawieniu tej sztuki, które, nawiasem powiedziawszy, było pod każdym względem wzorowe, tu chcemy tylko w kilku słowach podać jej historię u nas, w szczególności zaś na teatrze lwowskim i to przed rokiem 1822.

Od 1822 roku datujemy zwykle świt nowej poezji, epokę romantyzmu. Rok ten, w którym ujrzał światło dzienne pierwszy tomik poezji Mickiewicza, jest zarazem rokiem przełomu dla znajomości Szekspira w Polsce. Od roku tego mniej więcej rozpoczyna się nowy okres tej znajomości, opartej na samodzielnem studyum oryginalału. Nad całą poezją romantyków unosi się odtąd przywrócony do czci „stary orzeł poezji“ — Szekspir.

Wprawdzie czasom przed epoką poezji romantycznej nie brakło całkowicie ludzi takich, co znali i rozumieli, kochali i cenili geniusz „łabędzia z nad Awonu“, to jednak były to nieliczne i wybrane jednostki, którym ówczesny duch wieku przesycony sądami Voltaire'ów i La Harpe'ów uragał, dlatego, że śmieli czuć i myśleć inaczej, jak inni. Ostatni

z królów na tronie polskim, Stanisław August, Czaratoryscy i ich puławskie otoczenie, Węzyk, Morawski toż to prawie wszyscy, o których powiedzieć można z dowodami w rękę, że znali Szekspira w oryginalne, że tego poetę natury nosili głęboko w swem sercu, ceniąc go i czcząc, co więcej, że cześć tę i uwielbienie dla niego szerzyli i krzewili gdzie tylko było można. Dowód to dużej inteligencji, znamię wielkiego postępu, świadectwo godnej naśladowania śmiałości i odwagi. Były to jednak, jak już wyżej nadmieniliśmy, jednostki wybrane, a nieliczne — *rari nantes in gurgite vasto*.

Znajomość Szekspira wśród ogółu była wcale inna. Był on dla niego przedewszystkiem tem, za co go uważał Voltaire i La Harpe, a zaś ich następca, Arystarch klasycznego Parnasu, Ludwik Osieński.

Pseudo klasycyzm francuski, a za nim i polski przeklął Szekspira dla tego, że miał serce i patrzył w serce, że widział przed oczyma duszy swojej — potępił go za to, że był świetnym wyrazem swego wieku, a genialnym poetą natury po wszystkie czasy. Ale mimo to przekleństwo, którego źródło leży w bezdennem samolubstwie Voltaire'a, geniusz Szekspira pociągał wielu. Chcąc rozpowszechnić jego znajomość wśród ogółu — a nie narażać się przez to na gniew i szyderstwo powag, przerabiali go, idąc za smakiem wieku, wyprawiali go w świat, ale w takiej szacie, która jeśli nie przypominała w zupełności klasycznej togi, to była zawsze wedle wyobrażeń czasu „przyzwrotną“.

U nas czyniono to naturalnie wedle mody francuskiej: jak tam ubrano Szekspira, tak też i u nas wyglądał. A było tych przerabiaczy francuskich dość wiele, którzy nieraz nawet nie znając zupełnie języka angielskiego, oryginału Szekspira, brali się do tego przerabiania, jedynie na podstawie niedosć dokładnych tłumaczeń.

Za doskonały typ takiego francuskiego przerabiacza może znakomicie służyć Jan Franciszek Ducis (1733 — 1816). „Hamlet“ (1769), „Romeo i Julia“ (1772), „Król Lear“ (1783), „Makbet“ (1790), „Otello“ (1792) — oto poczet sztuk Szekspira, które padły ofiarą przerobienia takiego, że zatraciły prawie w zupełności cechy geniuszu swego twórcy. A to przecież nie lada sztuka i nie lada trud przerobić i przekształcić utwory Szekspira do tego stopnia, by nie pozostał na nich znak jego lwiego pazura. Ducis po angielsku nie umiał — sam to przyznaje w przedmowie do swych przeróbek, wypowiadając przytem wielką prawdę, że „une main plus habile que la mienne aurait mieux réussi“.

Przeróbek swych dokonywał na podstawie zbioru p. t. *Théâtre Anglais par La Place* (Londres, 1745, 8 vol. 12-o), który zawiera próby tłumaczeń sztuk Szekspira na język francuski. Prawda, że to ciekawy typ przerabiacza arcydzieł Szekspira! A trzeba wiedzieć, że ze wszystkich przerabiaczy Ducis był u nas najbardziej w modzie. Ale odbiegliśmy za daleko od tematu. Wszak mamy mówić o historii do komedji szekspirowskiej p. t. „Wiele hałasu o nic“ w Polsce.

Domysł nie trudny, że komedia ta, najsamoistniejsza, jaką kiedykolwiek Szekspir napisał, nosząca najwybitniejsze cechy jego geniuszu i talentu, nie mogła być graną przed r. 1822 na podstawie tłumaczenia z oryginału w formie niezmienionej, ale na podstawie przeróbki. Podstawą przeróbki

była tym razem, co się dość rzadko zdarzało, nie przeróbka francuska, ale niemiecka a mianowicie Henryka Becka (1760—1803, artysta teatralny i pisarz dramatyczny), komedia w pięciu aktach pt. „Die Quaelgeister“ (*Die Quaelgeister, Lustspiel in fünf Aufzügen von H. B. — freie Bearbeitung von Shakespeare's Viel Lärm um Nichts — in Wien aufgeführt. Frankfurt a/M 1801*).

Nim przejdziemy do rozbioru tej przeróbki, noszącej tytuł „Trapiące duchy“, podamy, że tłumaczył ją z niemieckiego Szczesny Starzewski (1787—1857, artysta i tłumacz teatralny) i że po raz pierwszy wystawiono ją we Lwowie 17 marca 1820 roku, w piątek, za dyrekcji Jana Nepomucena Kamińskiego. Recenzję tego przedstawienia pomieścili *Rozmaitości* (Nr. 71 we wtorek. Nr. 35, 28 marca 1820 p. 140. Teatr we Lwowie). Kto autorem tego sprawozdania, nie wiemy. Prawdopodobnie był nim Stanisław Jeszowski, płodny, a przytem nader mierny pisarz.

Pisze zaś recenzent co następuje:

„Dnia 17 marca dano pierwsze przedstawienie komedji w 5 aktach podług Szekspira przez Becka napisanej, a przez S. Starzewskiego przełożonej pod tytułem: „Trapiące Duchy“. Generał miał córkę i siostrzenicę; w pierwszej, Emilii, kochał się Walczyński i doznawał wzajemności, druga zaś, Izabela, posiadała szczególny charakter: żywa i śmieszna, miała sobie za rozkosz dręczyć innych, była obojętną dla miłości i nigdy jej znać nie pragnęła. W wojsku księcia znajdował się oficer Bitnicki, który równie wyszczególniał się swoim sposobem myślenia, nie kochał nigdy, gdyż wymagał, ażeby w jego przedmiocie wszystkie przymioty duszy i ciała połączone były.

Tych tedy dwoje ludzi skojarzyć było zamiarem księcia i generała; zmyślonymi sposobami wzniecają w Bitnickim prawdziwą miłość dla Izabeli, a chociaż go ta wyszydza i jego zapalom nie odpowiada, poczyną jednakże cenić jego przywiązanie. W tem Wiatrcki, zakochany w Emilii, stara się również podstępami skarać ją niewierną w oczach Walczyńskiego, strapiiony kochanek chce ją zapomnieć, lecz za pomocą Bitnickiego, namówionego od Izabeli przyrzeczeniem otrzymania jej ręki, wyjaśnia się nieporozumienie i kończy się intryga. Tak dręczyły kochających różne przeszkody: Walczyńskiego zazdrość, Bitnickiego zaś uszczypliwy charakter Izabeli.

Ta sztuka nie ma dobrego związku i nieporozumienia się są zanadto posunięte. Gust jednakże Szekspira jest w niej widocznym, a ta jedna przyczyna utrudnia już obrobienie sztuk podobnych; zresztą oryginalne charakterystyki okazują swego twórcę i są jęły poniekąd ciekawość widzów“.

Oto treść i ocena — jeśli to w ogóle oceną nazwać można — „Trapiących Duchów“, podane przez recenzenta *Rozmaitości*. Gdyby kto nie znał Szekspirowskiego oryginału, a potem przeróbki Becka, nie wiele dowiedziałby się z tego sprawozdania, które — użyjmy słów autora recenzji — nie ma dobrego związku.

Dla uzupełnienia tedy należy koniecznie zbadać treść przeróbki niemieckiej, gdyż inaczej nie mielibyśmy dokładnego wyobrażenia o tem, jak wyglądała komedia „Wiele hałasu o nic“ przed 1822 r. na scenie polskiej.

(Dok. nast.)

R. NUSBAUMOWA.

Pogląd fizjologa-psychologa na uczucie.

Co to jest uczucie? Na pytanie to różni psychologowie odpowiadają w sposób rozmaity. Miałam niedawno sposobność porównania odnośnych poglądów na uczucie, wygłoszone przez dwóch psychologów, stojących pod tym względem na przeciwnych biegunach. Jeden z nich, fizjolog-psycholog zaczyna tam, gdzie drugi — psycholog — chciałby dopiero skończyć. Przedstawię kolejno dwa te zapamiętania, jedno w artykule dzisiejszym, drugie w następnym tak, że czytelnik będzie miał również możliwość zestawienia ich i porównania.

Uczucie, mówi fizjolog-psycholog Ziehen, jest tylko trzecią cechą albo własnością zmysłowego uczucia, obok dwóch innych własności tego ostatniego: natężenia i jakości. Jest to poniekąd szósty zmysł o dwóch tylko głównych jakościach, to jest przyjemności i przykrości, z których jedna albo druga przyłączają się do czuć, pochodzących od innych zmysłów, w pewnych także warunkach do wspomnień, czyli wyobrażeń. Jednym słowem, według tego poglądu uczucie to jedynie tak zw. ton uczuciowy wrażeń czyli czuć zmysłowych, towarzyszący tym ostatnim; zupełnie zaś samodzielnie uczuciowe tony nie występują nigdy.

Ponieważ mogą one towarzyszyć każdej podniecie, lub każdemu pobudzeniu nerwowemu, przeto podstawą ich muszą być jakieś bardzo ogólne własności zarówno podnieci, jak narządów zmysłowych i ośrodków nerwowych.

Ziehen przyjmuje tedy, że przy podniecie uczuciowo indyferentnej występuje w korze mózgowej tylko pewien fizjologiczny proces, któremu psychicznie odpowiada uczucie zmysłowe; przy działaniu zaś podnieci uczuciowo nieobojętnej do tego procesu fizjologicznego przyłącza się jeszcze dalszy także proces, któremu psychicznie odpowiada już ton uczuciowy dodatni lub ujemny, a więc uczucie przyjemne lub przykre. Te tony uczuciowe zdają się zależeć od bardziej zmiennych własności kory mózgowej, podczas gdy jakość czuć zmysłowych zależy zapewne od jej własności więcej trwałych.

Według tego poglądu słaba na przykład podniecia świetlna powoduje fizjologiczne pobudzenie, któremu psychicznie odpowiada z początku tylko zmysłowe uczucie światła; gdy działanie tej podnieci wzrasta, pobudzenie owo i uczucie świetlne również wzrastają, lecz przytem powstaje dalszy jeszcze proces fizjologiczny, któremu psychicznie odpowiada przyjemny lub przykre ton uczuciowy, cechujący dane uczucie.

Dalej według tego np. ból to silnie wyrażony ujemny ton uczuciowy, czyli silne uczucie przykrości cechujące zbyt znów natężone uczucia dotykowe, gdy zaś te ostatnie są dostatecznie słabe, mogą być pozbawione tego tonu, umiarkowane zatem uczucia dotykowe są bezbolesne, zbyt natężone — bolesne.

Ziehen przyznaje słusność naiwnej myśli, która uczucie, będącemu według niego jedną z własności wrażeń, czyli czuć zmysłowych, przypisuje znaczenie bardziej subiektywne, innej zaś ich własności, to jest jakości tychże czuć, przypisuje znaczenie więcej obiektywne. Temu odpowiada fakt, że uczuciowego tonu, cechującego dane uczucie zmysłowe nie

odrzuca na zewnątrz, jak to czynimy z innymi cechami, n. p. z jakością. Nazywamy jednak dany przedmiot zielonym, a nie wzbudzającym w nas zieloność; tutaj jakość uczucia zmysłowego, to jest barwa, jest pojmowana obiektywniej, jest odrzucona na zewnątrz. Tymczasem o innym jakimś przedmiocie powiadamy, że wzbudza w nas wesołość, a nie że jest wesoły, gdy n. p. miły krajobraz budzi w nas przyjemne uczucie; tutaj ten ton uczuciowy jest wzięty bardziej subiektywnie, nie odrzucamy go na zewnątrz tak, jak n. p. barwy krajobrazu.

W teorii tej uczucie występuje jako reakcja czyli sposób oddziaływania kory mózgowej na bodźce zewnętrzne, który rozwinął się powoli i stopniowo, poczynając od najsłabszych jego objawów, do olbrzymiej skali uczuciowej, jaką obecnie napotykamy u istot rozwiniętych. Uczucie rozwinęło się jako nader pożyteczne przystosowanie w życiu osobników, a rozwijało się zarówno drogą filogenetyczną, to jest w szeregu całych pokoleń, jak i drogą autogenetyczną, czyli w życiu pojedynczych osobników. Ziehen usiłuje nawet wskazać początek i źródło tej genezy, przypominając, że w wielu wypadkach uczucia przyjemne towarzyszą podnieciom związanym z odżywianiem i rozmnażaniem się istot zwierzęcych, a więc podnieciom dla nich pożytecznym, że zaś w innych razach uczucia przykre chodzą w parze z podnieciami niebezpiecznymi i szkodliwymi dla zwierząt. Pożyteczne i przyjemne zarazem bodźce wywołują, jak wiadomo, zbliżanie się do nich zwierzęcia, szkodliwe zaś powodują jego ucieczkę.

Otóż być może, że owa swoista własność kory mózgowej oddziaływania na pożyteczne lub szkodliwe bodźce dodatnim lub ujemnym tonem uczuciowym, który przyłącza się do czuć zmysłowych, rozwinęła się filogenetycznie z tamtych ruchów przybliżania, lub oddalania od bodźców pożytecznych albo szkodliwych. U najniższych istot żyjących, zmysłowe uczucie bezpośrednio wywołuje odpowiedni ruch, u wyższych pojawia się nowe ogniwo pomiędzy uczuciem zmysłowym a ruchem, to jest ton uczuciowy czyli uczucie, jako wskazówka na ogół trafna, czy ruch ma być zbliżeniem do bodźca, lub oddaleniem. Uczucie zmysłowe, posiadające prócz cech jakości i natężenia, trzecią jeszcze cechę, to jest ton uczuciowy, pozwala daleko lepiej i skuteczniej orientować się zwierzęciu wśród otoczenia, nie wyładowując się zaś bezpośrednio pod postacią ruchu, pozostawia u istot wyżej rozwiniętych czas dla gry rozmaitych motywów.

Od czego zależy ton uczuciowy, cechujący dane uczucie zmysłowe? Otóż najwyraźniejszą jest zależność tegoż tonu od natężenia podnieci, względnie uczucia zmysłowego. Dźwięk n. p. muzyczny bardzo cichy w większości wypadków pozostawia nas obojętnymi, lecz przy stopniowo wzrastającym jego natężeniu występuje w nas coraz wyraźniejsze uczucie przyjemności, czyli dodatni ton uczuciowy, który stanowczo dochodzi do najwyższego punktu przy średniej sile dźwięku muzycznego. Przy dalszym wzmacnianiu tego ostatniego, owa przyjemność słabnie bardzo szybko i przechodzi w przykreść tak, że gdy podniecia dźwiękowa osiąga swe *maximum*, uczuciu słuchowemu towarzyszy najwyższa przykreść. Analogicznie ma się rzecz w innych także dziedzinach zmysłowych, a więc w zakresie wzroku, smaku i t. p. Widzieliśmy jednak wyżej, że zbyt natężonym

uczuciom dotykowym towarzyszy silny ujemny ton uczuciowy, czyli ból.

A więc prawo zależności pomiędzy natężeniem czuć zmysłowych, a cechującym te ostatnie tonem uczuciowym wyraża się tak, że najwyższa przyjemność towarzyszy podniętom o średnim natężeniu, przy wzmagającym się zaś działaniu podnięt przyjemność zamienia się w przykrość.

Prawo to można graficznie przedstawić za pomocą odpowiedniej krzywej linii, mającej kształt ściśle określony, która jednak przy pewnych zboczeniach umysłowych zmienia się w nader charakterystyczny sposób. Tak np. u melancholików dodatni ton uczuciowy, czyli przyjemność, przechodzi w ton ujemny, to jest w przykrość, już przy znacznie słabszym natężeniu czuć zmysłowych, aniżeli u osób zdrowych; w końcu przy tej chorobie dochodzi do tego, że nawet najslabszym uczuciom towarzyszy przykrość: wszystkie uczucia są bolesne.

Bardziej złożoną jest zależność tonu uczuciowego od jakości czuć zmysłowych. Nie mogąc tutaj dla braku miejsca wdawać się w bliższy rozbiór tej niezmiernie ciekawej kwestyi naukowej, podam kilka szczegółów z dziedziny np. zmysłu smaku i wzroku.

Otóż w zakresie czuć smakowych, taka ich jakość jak słodycz stanowczo ściślej jest związana z dodatnim, przyjemnym tonem uczuciowym, jakości zaś: kwaśna, słona a zwłaszcza gorzka ściślej związana z ujemnym, przykrym tonem uczuciowym. Dokładna wszakże obserwacja wykazuje, że i tutaj natężenie jest miarodajne. Lubimy wszak potrawy nieco tylko słone, lekko gorzkie lub kwaśny ich smak sprawia nam przyjemność, gdy tymczasem stężone słodkie roztwory są dla nas wstrętne,

Co do czuć wzrokowych, to gdy jako takie są proste i o średnim natężeniu, wówczas towarzyszą im tylko bardzo słabe, dodatnie tony uczuciowe. Lecz już przyjemność, doznawana przez nas na widok np. błękitu niebios, nie pochodzi wyłącznie od samego czucia wzrokowego, jako takiego, albowiem tutaj w wysokim stopniu współdziałają skojarzone z niem wyobrażenia dawniejsze, również nacechowane właściwym sobie tonem uczuciowym; wyobrażenie np. nieskończoności i wspaniałości niebieskiego sklepienia nad nami, albo wyobrażenia faktów związanych z piękną, jasną i słoneczną pogodą, którym towarzyszą dodatnie czyli przyjemne tony uczuciowe, kojarzą się z uczuciem zmysłowym błękitu nieba i udzielają temuż uczuciu swych tonów dodatnich.

Ziehen sądzi tedy, że jakość czuć wzrokowych czyli barwa, jest obojętna dla tonu uczuciowego. Wprawdzie dawniejsi psychologowie usiłowali porównać każdą barwę z pewnym smakiem i związać ją przeto z określonym tonem uczuciowym. I tak: czerwień miała odpowiadać smakowi słonemu, błękit — gorzkiemu, białość — słodkiemu. Ziehen jednak uważa, że to są całkiem subiektywne porównania, robione na mocy skojarzonych wyobrażeń; przypomina tylko szereg: „białe” — „słodkie” — „mleko”.

(Dok. nast.)

KSIĄŻKI.

Jerzy Żuławski, Benedykt Spinoza, człowiek i dzieło. Warszawa. Wydawnictwo Poradnika dla czyt. książki, 1902. Str. 189. (Autoreferat). Jeśli piszę sam o własnej książce, nie czekając, aż zrobią to inni*), to czynię to z tego powodu, że przyjemniej jest wytknąć samemu niedostatki swej pracy, niż innym na to pozwolić. Książkę o Spinozie, mającą dać w popularnej formie obraz życia i filozofii tego mędrca, napisałem na wezwanie Br. Natansona dla zamierzonego przezeń wydawnictwa życiorysów wielkich ludzi. Po przedwczesnem zwinięciu wydawnictwa, rękopis powrócił do mnie; odstąpiłem go wtedy księgarni T. Paprockiego i Ski w Warszawie, która go wydała w tym roku.

Dzisiaj widzę, że książka nie odpowiada swemu celowi. Jako dziełko popularne wykazuje liczne braki, pochodzące stąd, że książek popularnych w całym tego słowa znaczeniu — pisać nie umiem; zaś jako monografia filozoficzna małą posiada wartość, gdyż, mając przy pisaniu na oku popularny cel książki, opuszczałem w przedstawieniu poglądu na świat Spinozy całą stronę dowodową, która byłaby dla ścisłości niezbędna, zwłaszcza, że w wielu miejscach, opierając się na własnych studiach dzieł Spinozy, odchodzę znacznie od utartych poglądów na filozofię tego mędrca.

A już do poziomu zera obniża wartość książki, nad wyraz niedbałe wydanie. Wydawca nie uznał za stosowne przysłać mi korekt, a skutek tego jest taki, że dziełko roi się od najgrubszych błędów drukarskich, przekręcających nazwiska, tytuły i terminy filozoficzne, a nieraz i całe zdania do tego stopnia, że ja sam nie mogę ich zrozumieć bez porównania z rękopisem. Chciałbym, aby to było nauką dla autorów, sprzedających swe rękopisy pomniejszem firmom w Warszawie.

PISMA.

(ts). Kraj Nr. 24. Artykuł prof. Tarnowskiego o Historii literatury Brucknera. Nie potraćalibyśmy o niego w tem miejscu, jak nie wspominaliśmy o jego recenzji historii literatury Chmielowskiego, zamieszczonej w *Przeglądzie Pol.* i wtrąconym tamże pełnym namaszczenia apelu do młodych, aby nawrócili się na słowa zacnego prof. Chmiel. i nie grzeszyli nową poezją — gdyby nie interesujący przypisek — zwierzenie osobiste krytyka, z którego dowiadujemy się cennej rzeczy. „Niechęć do Słowackiego!!! — mówi tam nasz Brunetiere. Jak to człowiek sam siebie nie zna. Myślałem aż dotąd w najlepszej wierze, że mam do Słowackiego nie niechęć, ale słabość i że nikt go więcej odemnie nie wychwalał”. Tak — tak, prof. Tarnowski ma słabość — i to do Słowackiego. Wierzmy nawet, że to musi być coś ze słabości ojca dla syna — stąd też on go tak nieraz napominał, karecił surowo i strofował — bezskutecznie. A wszystko to, przez słabość, — bo gdyby nie ta słabość...

*) W Tygodniku *Słowa Polskiego* pojawi się niebawem sprawozdanie z książki tej pióra prof. K. Twardowskiego.